ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 19 sierpnia 1922 roku. № 33

Juljusz German. Powieść.

33) TWARZ Z ZA KURTYNY.

Bronicz został sam w sztywnym, jak refektarz klasztorny, gładko czystym pokoju biurowym. Doniczki cyklamenów na zakratowanem oknie świeciły niezmiennym, bladofiołkowym uśmiechem, niepotrzebnym nikomu, ale uśmiechem...

Niepotrzebnym? Może w tem delikatnem, naiwnie ufnem proszeniu zbladł zrywający się w nim gniew przeciw grozie praw tajemniczych, które wbrew wszystkiej jego woli o niego zaczepiły myśl zbrodniarki, w hańbie odchodzącej z życia?

Żeby swą obecnością pomógł jej wydobyć z mętów i pomroki źdźbło wiary w jakiś byt poza zniszczeniem ciała?...

Pomógł? Nie chciał wcale, duszą całą był od tego daleki... A jednak w najkorniejszej wdzięczności u jego nóg rozsypana ta fala włosów ogromna, strugami najbledszego, sypkiego złota zaścielająca kamienną podłogę, fala, w której zgubiła się już twarz i zarys postaci...

Podniósł dłoń do czoła.

Czy może dlatego widział w śnie, pod słupem na stoku okopów, naprzeciw wymierzonych luf tylko lśniący odblask złotawo powłóczystej chmury, w której niknął kształt wszelki? Może dlatego?

I już teraz mgłą mu się te lica kredowe, napiętnowane demoniczną rozpaczą, wśród zimnych ścian celi świecące karbunkułami oczu, z których jakby wyrywało się światło uwięzione.

Zmorą szły za nim przez szereg tygodni długich, teraz odpływają od niego w niewiadomość bezkresną.

Już policzone minuty dotykalnego ich istnienia, więc i senne ich odbicie, z ciała żyjącego wykwitłe, przepada... Lecz może schodzi tylko z pola widzenia, objętego wzrokiem ludzi żywych? Czy twarze umarłych śnią się tylko jako wspomnienie?

— Będę — przypomniał sobie żarliwy szept na śmierć skazanej.— Będę jak ta twarz moja, do innych lecąca, gdy ja ciężka gdzieindziej...

Świat inny?

Jeśli o nim marzył, to tylko o takim, w którym nie ginie przejawione tu piękno... A tego piękna najsubtelniejszy czar w Lili ukazało mu życie.

I wyrosły mu jasno z pamięci własne słowa, dostojnem oburzeniem na niesprawiedliwość spłomienione: „Miałby ten urok przepaść na zawsze"?

Skądże w koło tych marzeń wciska się, waży się zbliżać widmo wszystkiem bezeceństwem zbrukane? Skąd przed oczyma Lili rozbłysło? On był łącznikiem między temi dwiema nieznającemi się zupełnie istotami, rozdzielonemi otchłanią obcości, najodleglejszemi sobie na świecie?

Przez cień sekundy krew w żyłach ścięła mu się lodem.

Już była ta myśl, odegnana precz żelaznym naporem woli, gdy słyszał z krwawych warg, które zaraz zamilkną na wieki, drgające pytanie: „Czy i ona"?...

Powraca... Echo słów pokornych przed oświecającą wieścią z głębin nieznanego: „Żeby ktoś lepszy mógł tam poznać tu nie spotkaną i dobrą ręką wspomódz w strachu ciemności"...

Więc tam mogliby razem być ci, którzy tu nigdy nie znali, nie widzieli się nigdy żywemi oczami?

Lili, Lili...

Tu, w tem otoczeniu nie myśleć o niej, nie myśleć!

W myślach pełnych największego umiłowania kryć się mogą sztylety, życiu jak wiosna niewinnemu groźne, zabójcze dla istnień, przez które przepływają atomy słońca.

Raz jeszcze napiął całą wolę jak cięciwę łuku, odepchnął, rozpędził rój upiornych majaków, próbujących osłonić cmentarnym mrokiem zjawę Lili promienną.

Zmusił się, przestał o niej myśleć odrazu.

„Zabraniam sobie"... „A więc drugiemu"... zapalił się jaskrawy błysk uczucia, dumną nadzieją goniącego wzwyż.

— Tak, drugiemu — powtórzył cicho, wysyłając stalowe, nieustraszone czujnie spojrzenie w krąg niewidzialny. A odważna pewność władzy nad tym drugim skrzepiła go spotężniałą mocą.

Nie cofnął się, nie zboczył wygodnie z drogi, przez zawikłany gąszcz zdarzeń sierpem szczerych porywów przerzynającej się śmiało, dla każdego zbliżenia życzliwej, w szczerości nowego piękna spragnionej.

Szczerość... Jakaż to kobieta o prawdę goręcej błagała, niż o rozkosz? Z hebanowych warkoczy wychylają się lica białe płatkami czeremchy, oczy jak toń wody wśród drzew boru... Niewierna żona półobłąkanego gracza, w bujnej namiętności dojrzałej kobiety dziwnie dziewczęca, zakochana w lśnieniach nieznanego światła...

Szczerość... I przed tem spotkaniem nie umknął, ziejącem czernią wykopanego już grobu. I w tę czerń rzucił okruch szczery... choć wiodła nim może nie chęć własna...

Drgnął jakby przed wyraźnym powiewem cudzej obecności. Lecz zaraz otrząsnął się, sprężył ramiona. Zagłębił się w oparcie ceratowej kanapy.

— Cóż, uliczna dziewka, która zabiła... Cóż jej życie...

Jej życie... Jak opowieść z zasnutej pajęczyną przeszłości, wyciągnął się przed nim sznur bladych widziadeł, niby w zamazanem zwierciadle odbitych.

W uciekającą ostatnią jasność dzienną wpada pierwszy blask latarni. Z wąskich ulic wysuwa się zmierzch. Wycina się z niego jak blady płomień splot włosów wokół twarzy czyhającej ponuro. Zbłąkane

w zaciętem, rozpaczliwem poszukiwaniu, zmęczone jałowością marzeń spojrzenia wieczornych przechodni. W każdem, pod maską żądzy schowana, iskra wątłej nadziei: a może w tej nowej, nieznajomej odkryje się to, za czem tęsknię, a czego nie wiem, może wreszcie... A czerwień warg lubieżnie wilgotnych szyderczo wyzywa, przezroczyste kocie oczy błyszczą fałszywą zapowiedzią: tak, to ze mną, ze mną... Idzie już z nią ktoś, z głową pochyloną, jak skazaniec. I za półgodziny ucieka z ciężką pogardą, odwracając mętny wzrok od zmiętej białości, z której sobie wyszarpał tylko wstręt gryzący, która była tylko ciałem bez twarzy. Dziesięć, sto spotkań takich, już nie zliczyć. I coraz ciaśniej zamyka się na niej zaklęte koło żądz bezradnie chciwych i przytłaczającej kamiennie pogardy, coraz szczelnie odgradzają się od niej ci jaśni, syci, bogaci, chodzący po ogrodzie, do którego jej zajrzeć nie wolno. „Czemu nie ja? A czemu nie ja"?—Wściekłość targa do dna wszystką istotą. „Tę laleczkę panienkę z blond warkoczykiem, która mignęła mi się dziś w południe, będzie ktoś pieścił na pachnącem łóżeczku, całował jak świętą. A mnie, co urodziłam się taksamo, jak ona, i takie samo miałam wszystko, włóczęga-złodziej z sąsiedniego domku dopadł, za nierozwiniętym podrostkiem od tygodni z podełba się oglądając. Na ślizkie od wody kamienie pod mostem rzucił mnie pijany, pięścią do milczenia i poddania się zmusił, a na pożegnanie kopnął, żem za chuda". Skąd, dlaczego ta straszna różnica? A tamci, w górze o sto pięter żyjący, tacy sami ludzie, mają wszystko na świecie najlepsze, sytość strojną, rozpartą, wesołą, w smudze zapachów, wonniejszych niż głupie kwiaty. Tej sytości dostać, do niej się wydrapać. Ale jak? Za znudzone obnażanie się każdemu, który zażąda, dostaje ochłapy pieniędzy, tyle, że nie zawsze jest głodna. Łasi się, przypochlebia, a zelżyć by chciała, pieści, a oczy z obrzydzenia ciasno zamyka. Każdy jak szmatę potem odtrąca, lichy papierek ciśnie końcem palców. Bogacz nie trafi się żaden. Raz tylko dał jej jeden wszystko, co miał w portfelu. Niewiele tam było. Ale przez pięć dni nie dreptała godzinami po ulicach, mogła po całych nocach się wysypiać, objadła się cukierkami, od żydówki sukienkę i pantofelki kupiła. Warjat jakiś, czy malarz. Kazał jej rozebranej włosy na ramiona i plecy rozpuścić rozłożystym płaszczem, zatulał w nie jej piersi i biodra, patrzył, kiwał głową, odszedł, nie zbliżywszy się nawet na krok. Raz tylko... Zresztą, nędza wciąż, nędza. Bogacza nie widać, choć za rąbek sytości nie schwycić. Więc inaczej! Kraść! Gdy była jeszcze całkiem mała, kradła straganiarkom bułki, znajomym dziewczynom wstążki i szpilki. Wszystkie tak robią. Cóż to trudnego? Czemu inni mają za wiele, ona nic! Pierwszy, drugi raz wyciąga pieniądze z kieszeni śpiącego pijaka. Udało się! Podskakuje, tańczy, śpiewa z uciechy i zadowolonej złości. Byle więcej, byle jak najwięcej wydrzeć tym wrogom obchanym wszystkiem dobrem. Przychwycili. W norze zamknęli ciemnej. Ręce obijają się o mury, dławi się, dusi... Silni tamci, silni... I znowu na ulicy, obdarta. Smaga jesienny deszcz. Podchodzi ktoś skulony, szary, z podełba patrzący. „Znam cię, znam". Z tylu twarzy zwieszonych nad nią jak sine pająki nie pamięta żadnej. Zlewają się wszystkie w jedno jakieś ogromne oblicze, smutną wściekłością wykrzywione zajadle. „Pod mostem, pamiętasz? Ja z tobą pierwszy"... Wzrusza obojętnie ramionami. „Może być, zapomniałam"... Obejmuje ją wpół, wlecze z sobą. „Będziemy razem". Razem? Przeciw tamtym... Razem... We dwoje... tak ciągle... Próbuje się uśmiechnąć. Chciałaby mu ręce na szyję zarzucić jakoś delikatnie, jakoś inaczej, To nic, że brzydki, to nic, że w łachmanach, jak ona. To najważniejsze: razem. Pierwszy raz zgadza się chętnie na cudzą rozkosz z niej płynącą, pierwszy raz chciałaby w uścisku oddać coś więcej, niż ciało, innym i jej zawsze takiesame... Coś więcej, co w mroku się kryje, a w niej jest. I w tem uczuciu krew się w niej rozpala, nieznane dreszcze zaczynają wstrząsać przejmującą, urywaną gwałtownie błogością. Rozkwita pełniej, ładnieje, patrzy na siebie z przyjemnością, dziwem. Uśmiecha się już całą twarzą, uśmiecha się jak małe dzieci w piasku bawiące się nad Wisłą. Na krótko. Już w dwa, trzy dni wygania ją w noc ulicy kochanek. „Wróć z pieniędzmi, zarób, wypiękniałaś. Więcej dostaniesz". Tosamo, tosamo znów w kółku jak dawniej. Z każdym, wstrętnym. Ale już każdego chce okraść, skrzywdzić, w mściwości zaciekłej, głuchej. Policja, areszt, bicie. I znowu wystawanie na rogach, w cieniu domów, w zamiejskich zaułkach. Ale już jego się trzyma, poddaniem pokorna, już doń przylepiona najciaśniej. Po jakiejś większej kradzieży uciekają. Posłuszną wozi z miasta do miasta. Tacy sami wszędzie ludzie obrzydli, jaśni, tłuści, piętnują pogardą. Takie samo wszystko. I niebo i drzewa i domy. Aż zajechali gdzieś do Rosji. W jakiemś mieście chodzi wieczorem nad rzeką zamarzłą. Noc a białość skrzy się z wszystkich dachów. On z boku, pilnujący, pod murem przyczajony. Pan idzie młody, zbliża się. Żydek z garbatym nosem, z koźlą bródką, w futrze bogatem, cygaro pali. Zatrzymuje się, bierze ją pod brodę, po piersiach klepie, towaru próbuje. Nagle z tyłu rzuca się na niego skulona czarna masa, jak dziki zwierz w skoku. Nóż błysnął. Wali się przechodzień na ziemię, w drgawkach ciska, bełkotliwie jęczy. Już cicho. „Coś zrobił? Coś zrobił"? „Co trzeba. Cóż, wielka rzecz? Nie widziałaś nigdy trupa. To się przypatrz. Dobrze mu tak". Ona powtarza zaciskając zęby: „Dobrze mu tak. To z tamtych"... Pieniędzy miał dużo. Dnia następnego taksamo świeci słońce. Cóż, wielka rzecz! Rozgląda się uważniej wokoło. Przecież tu na prawo i lewo, z wszystkich stron krew chluszcze. Nikt sobie nic z tego nie robi. Ot, ulicą idzie w jasny dzień dwóch sołdatów z czerwonemi gwiazdami na czapkach. Staruszka o kiju grzebie opodal chciwie w śmietniku. Jeden z żołnierzy przykłada niedbale przy twarzy kolbę karabinu, strzela. „Zuch, babę, jak należy, trafił"! I śmieją się obaj w radosnem rozbawieniu, przytupując w tanecznych podrygach. I ona śmieje się głośno, za głośno, aż ten śmiech wydaje się jej tak obcy, jakby kto inny śmiał się jej głosem. I w strachu, w ucieczce przed sobą do żołnierzy się rzuca. Już ją obalili na bruk... Każdej nocy, każdego dnia potyka się o ciała zesztywniałe w drewnianym bezwładzie, rozrzucone śmiesznie, jak połamane duże lalki. Cóż, wielka rzecz? Wielka rzecz... I coraz częściej zaczyna śmiać się tym śmiechem, którego czasem się lęka. Pewnego dnia wracają. „I do nas mogą się dobrać", mówi kochanek „jak na cepowisku walą nie patrząc. Łatwo im się zmylić, pomyśleć, że my z tamtych"... Warszawa... Tosamo znów... jak było... Wciąż w kółko...

Za okratowanem oknem poczęło szarzeć. W drzwiach kancelarji stanął strażnik.

Dalszy ciąg nastąpi

FRANCISZEK SRAMEK.

Raport.

Na lewem skrzydle przy ostatku,
dziś muszę stać,
a czego chcę, nie może pojąć
żołnierska nasza brać.
Palce od siebie, pięty przy sobie,
o tobie, dziwny śnie, o tobie
dzisiaj mam raport zdać.

Melduję panie kapitanie,
iż zdało mi się w śnie,
jakoby krwawa wojna była
i śmierć spotkała mnie,
a obok martwy koń twój padł,
by społem ze mną żegnać świat,
jak wola boża chce.

Zgasł miesiąc, było wedle rana,
koń twój rozpacznie stroszył słuch,
rzecz dziwna, mieliśmy obydwaj
wskroś przestrzelony brzuch,
a w końskich oczach smutek łkał,
ktoś patrzał w nie, ktoś pytać chciał,
ktoś łamał ręce w kruch.

Na łąkach woni koniczyna
i kwitnie w krąg rzerzucha,
a on... koń... co zawinił, co?
ma dziurę w środku brzucha.
Zato, że ktoś mu na grzbiet wlazł...
Chce spojrzeć, w oczach promień zgasł
a w gardle ślina sucha.

Och, w gardle schnie, pragnąłby rżeć,
dlaczego, nie wie już,
ukochał tak słoneczny blask
i jasną krasę zórz.
Stąpanie podków nie stukota,
niebo z ołowiu, krew bluzgota...
o, tocz się świecie, burz!

Melduję panie kapitanie,
że sen ten wstrząsnął mną,
zwierzęce, zrozpaczone oczy
wpełzły w mej duszy dno
i doszedł krzyk do mego słuchu:
Czemu leżymy z raną w brzuchu?
Co miałem odrzec, co?

Melduję panie kapitanie—
i pragnę dzisiaj rzec:
Gdy pan chce, czyli człowiek musi
w objęciach śmierci ledz?
Proszę gorąco — Szczędź twe konie —
— Strasznem pytaniem bydło zionie:
Po co na śmierć nam biedz? —

ADOLF CERNY.

Niech się maluczcy zbliżą ku mnie.

Niech się maluczcy zbliżą ku mnie
I niechaj me gorące skronie,
Rączkami swemi dotkną tłumnie,
A uśmiech duszę mą owionie.

Omdlała dusza w smutku kona,
Bo kruża, którą życie dało,
Gorzkim piołunem przesycona,
I cierń się w moje wraził ciało.

Uciekam w dal, gdzie przestrzeń pusta,
Gdzie cieniem wita mnie las stary,
A klątw nie rzekną ludzkie usta,
Gdzie cisza prószy na konary.

Niechaj maluczcy przyjdą do mnie,
Niech czystych ocząt blask mnie zbudzi,
Bym z nowych krynic mógł niezłomnie
Zaczerpnąć wiarę znów do ludzi.

I. S. MACHAR.

Korona świętego Wacława.

W pobliżu królów, którzy wżdy cię z pychą
I w wielkiej sławie nosili na skroni,
Ty—nasz symbolu odpoczywasz cicho
W zakratowanej i ciemnej ustroni.

Dobrze tak właśnie... królów proch przysiada
Co z nich zostało, okryte legendą,
Pozostań przeto, niech purpura blada
Kamień i złoto — przypomnieniem będą.

Dobrze, iż w mocnej przebywasz ochronie,
Niech królów skrywa dalej głaz zwietrzały,
Poco-ć zmuszano iść na czyjeś skronie,
Które o ciebie zupełnie nie dbały?

Niechaj Cię pająk owinie w opony,
Nietknięty obraz, schowanie twe czarne,
Z królów popioły, naród poniżony,
Lecz czci tej trochę nie poszło na marne.

Przełożył: WITOLD BUNIKIEWICZ.

Panteon literatury wszechświatowej.

WĘGRY.

Pieśń węgierska zawsze mile wpadała w ucho polskie. Dawne tradycje i wspólność temperamentów wiązały serca. Odbiło się to na stosunkach z Polską przedrozbiorową. Polska ujarzmiona znalazła również żywe współczucie w idealizmie węgierskiej pieśni, która przez usta bohatera narodowego Sandora Petöfi wołała do nas:

„Dwa zjednoczone macie w nas plemiona
I jakie jeszcze: Węgrzy a Polacy!
Jakaż potęga zegnie ich ramiona,
Gdy w jeden cel mkną, jak ptacy".

Jeden cel nasz: by wspólne kajdany
Zerwać, któremi nas tyranja pęta,
Więc przysięgamy na twe krwawe rany,
Zerwiem je, ojczyzno święta!..

Dobrze więc stało się, że pieśń węgierską przypomina nam obecnie p. Antoni Lange, znany poeta. W wydawnictwie, redagowanem przez siebie i przez p. Alfreda Toma, dał on antologję literatury węgierskiej. Już w wieku XII Węgrzy posiadali własne piśmiennictwo. Podobnie do Polski, z początku łacina jest językiem literackim. Później, w wieku XVI, Węgrzy zdobywają się na literaturę oryginalną. Mają nawet swojego mistrza słowa Balassiego Balinta (1551—1594), który w poezji węgierskiej zajmuje stanowisko, podobne do J. Kochanowskiego. Balassi zdobył się nawet na stworzenie specjalnej formy poetyckiej, która nosi miano jego strofy.

Bogato przedstawia się wiek XVIII. Jestto wiek walk węgierskich przeciw tyranji niemieckiej. Pieśń opiewa szlachetną postać Franciszka Rakocziego. Prowadził on walkę wyzwolenia Węgier z pod panowania Habsburgów. Przedsięwzięcie nie udało się. Rakoczi schronił się do Polski. W pamięci ludu węgierskiego przechowała się pieśń o jego bohaterstwie. Pieśń ta jest perłą poezji patrjotycznej. Przełożył ją szczęśliwie Antoni Lange. Polak czyta ją z wzruszeniem głębokiem, braterskiem. Czyż może być bowiem obojętną dla nas taka strofa?

„Wejrzyj na nas, Boże prawy,
Broń nas od tej plugawej
Hordy wrogów,
Która Węgrów, pełnych sławy,
Krwią się tuczy — u ich progów.
I nie dopuść więcej,
By te wrogi, pełne pychy,
By okrutne Niemcy
Mogły nami poniewierać
I jako narzędzie udręczenia,
Kazali nam umierać —
Pozbawiali nas imienia —
I by w gruzy strąciwszy nas krwawe,
Wiecznie mogli nam odbierać
Wszystką zwycięstwa sławę!

Czy strofa ta pieśni Rakocziego nie brzmi, jak nasza wewnętrzna melodja? Czy nie jest podobną do rozmodlonego hymnu, który wyśpiewała w swojej „Rocie" Marja Konopnicka?

W liryce węgierskiej bardzo pięknie brzmią tony miłości. Harfa, na której gra te pieśni rycerz, czy poeta węgierski, jest bardzo bogata w struny. Znany, sławny temperament węgierski święci tu swój czarowny sabbath, pełen bajek nocy świętojańskiej. Węgier umie kochać. Węgier potrafi sławić piękno swoich kochanek i dziewic. Stać go na zachwyt, na idealizm pełen najczystszych uniesień. Nie wyrzeka się ironji, żartu, wie o skarbach piękna cielesnego. Gdy trzeba, szepce zalotnie:

„Nie mów, nie mów nic! To święte
Mgnienie daj mi niemo, skrycie:
W tajemnicy tej zamknięte
Nasze szczęście, nasze życie.

Piękne są węgierskie pieśni, poświęcone przyrodzie. Rozkosznie śpiewa poeta Istvan Rónay o jesieni:

„Jesieni śliczna, pełna lśnienia,
Pozostań krótki czas!
Odejdziesz—przyjdą mroźne tchnienia
I lodem skują nas".

P. Antoni Lange zamieścił również i próbki prozy węgierskiej, by dać możliwie najpełniejszy obraz tej literatury. Z dziedziny dramatycznej pokazał również kilka wyjątków. Nie chcąc jednak zamykać tem zainteresowania do tego rodzaju utworów, p. Antoni Lange zacytował w dopisku cały szereg nazwisk i dzieł, które są inteligentnej publiczności znane z afisza teatralnego. Któż nie zna Fr. Herczega i jego komedji, pełnych finezji? Kto nie był na Molnarze? Kto nie pamięta Lengyella?

Przekłady, zamieszczone w tej węgierskiej antologji, pochodzą od wielu naszych pisarzy. Spotykamy tu S. Duchińską, Sabowskiego. Najwięcej jednak przekładów należy do Langego. Przekłady te wyróżniają się polotem. Dobre są również strofy, które z różnych poetów węgierskich przetłomaczył Józef Jankowski.

Antologji węgierskiego piśmiennictwa nie można jednak pozostawić li tylko literackiej ciekawości. Brzmią w niej bowiem słowa Lajosa Kossutha, który na wieść o powstaniu 1863 roku słał orędzie do żołnierzy węgierskich z wezwaniem:

„Niepodobna, abyście nie wspominali z wdzięcznością, jak w świętych bojach za naszą ojczyznę i polska krew płynęła; że na polach naszych krwawych zwycięstw, pospołu z popiołami honwedów węgierskich, spoczywają w świętej naszej ziemi, zmięszane z niemi, popioły poległych za nas bohaterów polskich".

Słowa te i naród polski zachował we wdzięcznej swojej pamięci. Było to przecież w roku 1863!

Eustachy Czekalski.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

27) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Ten wyraz zadźwięczał tak dziwnie w ciszy pokoju, że aż oboje drgnęli.

Sawinski zwrócił się do Lydji z uśmiechem:

— Przebacz, pani, zdaje mi się, że straciłem głowę.

Ale umilkł nagle i uśmiech skonał mu na ustach, tak go zdumiał wyraz twarzy Lydji. Była bardzo blada i oczy jej tkwiły w Sawinskim, jakgdyby go nie widząc. Zdawała się być pogrążoną w jakiemś marzeniu dalekiem o sto mil od rzeczywistości.

Sawinski zbliżył się do niej, jakby magnetycznie pociągnięty tym wzrokiem, ona zaś rzekła mu z prostotą:

— Czyś się pan nie zmęczył tem chodzeniem, Mikołaju Władymirowiczu? Usiądź pan przy mnie... Wyglądasz pan, jakbyś się mnie bał dzisiaj.

Podała mu rękę, którą wziął i zatrzymał w dłoniach, poczem, usiadłszy, poniósł ją do ust. Zwolna usta jego posunęły się dalej i powędrowały po jej obnażonej ręce po za łokieć i z powrotem. Było to uczucie rozkoszne, a zarazem dręczące, i Sawinski zadawał sobie w myśli pytanie, jak długo będzie je mógł przeciągać bezkarnie?

Nagle uczuł, że druga ręka Lydji otacza mu szyję i przyciąga do siebie. A gdy się znalazł tuż przy niej, przytuliła się do jego piersi, zwróciła twarzyczkę ku niemu i podała mu usta. On przycisnął ją do siebie namiętnie, położył się prawie na niej i pierwszy nieskończenie długi pocałunek połączył ich usta.

Jak to długo trwało? Może minutę, może wiek cały?

Pierwszy ocknął się Sawinski: „Która godzina? — pomyślał. — Ona musi wracać. To... to niemożliwe... Książe..."

Wydarł się z objęć Lidji wzburzony do najwyższego stopnia. Wyciągnął zegarek. Dziesiąta! Późno... o tej porze nikogo już na ulicach niema.

Ukląkł przed Lydją, obsypując ją najtkliwszemi pieszczotami, szepcąc najczulsze i najniedorzeczniejsze wyrazy, poczem, zmieniając ton, rzekł:

— Odprowadzę cię do domu, Lydjo, Lydoczko najmilsza... Już późno. W domu będą się niepokoić o ciebie... będą cię szukać... Ale, ale; gdzie jakoby poszłaś?

— Do mojej przyjaciółki Heleny — odrzekła Lydja i dodała, ważąc każde słowo: — Mam tam jakoby zostać na noc, bo, jak panu wiadomo, nie jest przyjemnie chodzić wieczorem po Petrogrodzie. Tam więc mnie odprowadzisz, jeżeli istotnie nie zechcesz zatrzymać mnie u siebie do jutra.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Była już druga w nocy; elektryczność paliła się nad łóżkiem, w którem leżeli.

Wyczerpana zmęczeniem Lydja uniosła się na posłaniu, pochyliła się nad spoczywającym obok niej kochankiem, popatrzyła mu głęboko w oczy i rzekła:

— O! ty! który jesteś moim, nie pojedziesz już teraz do Finlandji.

Poczem osunęła się w jego objęcia i zasnęła.

XIV.

PRZEBUDZENIE.

Noc, spoczynek, dwa oddechy, zlewające się ze sobą w ciszy sypialni... Gdyby nie te dwa równe oddechy, możnaby mniemać, że niema już życia w tych dwóch spoczywających obok siebie ciałach, tak głębokim jest sen, który je ukołysał. Otacza je ciemność i po macierzyńsku tuli swoje dzieci.

Nagle Sawinski czuje jakieś dziwne drażnienie w oczach; rozchyla powieki i zamyka je natychmiast; otwiera znowu... Pokój zalany jest światłem; elektryczność pali się u sufitu, a obok niego stoi stara Anuszka i dotyka jego ramienia.

— Baryń! u nas jest rewizja — szepcze mu do ucha.

W mgnieniu oka, jakby w świetle błyskawicy, Sawinski ujrzał otwierającą się przed nim otchłań. Rewizja, aresztowanie, Lydja zamięszana w tę sprawę, zaaresztowana również może, wtrącona z nim do więzienia; ona, ten cudny kwiatek, w więzieniu bolszewickiem! A oprócz tego straszliwy skandal, który rozlegnie się na wszystkie strony, dotrze do starego księcia i dalej jeszcze, do Finlandji, gdzie oczekiwała Sonia.

— Wstaję — rzekł Sawinski do Anuszki po cichu.

Lydja spała ciągle. Leżała z ręką podłożoną pod głowę, z włosami rozrzuconemi bezładnie dokoła niej; jedno jej ramię, wątłe jeszcze, wysuwało się z koszuli, która rozchylona ukazywała cudną, dziewiczą pierś...

Sawinski, ubierając się pospiesznie, patrzył na nią. Rozpacz szarpała mu serce. Była by to rzecz poważna, gdyby był sam, ale jeszcze i to dziecko wplątane w tę historję! Czy ją obudzić? Czy zdoła zapobiedz jej zaaresztowaniu?.. W każdym razie, komisarz, prowadzący rewizję, wejdzie do sypialni...

Sawinski zbliżył się do łóżka, pochylił nad Lydją i ucałował w czoło i usta.

Oddała mu pocałunek; szepnęła, nie otwierając oczu: „Kocham cię" i odwróciła się, by znowu usnąć.

— Lydjo — rzekł Sawinski — najdroższa moja, trzeba się obudzić.

Lydja ocknęła się zupełnie i uniosła głowę z poduszek.

— Co się stało? — zapytała. — Czy to już późno?

Spojrzała na ciemne okna.

— Ależ to jeszcze noc... Pozwól mi spać.

— Serce moje ukochane — rzekł Sawinski. — Przyszła rewizja. Musisz wstać. Mam nadzieję, że wszystko odbędzie się pomyślnie. W każdym razie, tobie nic nie grozi. Ubierz się; ja muszę przejść do drugiego pokoju. Wrócę za chwilę...

Przycisnął ją do piersi. Oplotła mu szyję rękoma, jak gdyby nie chcąc go puścić. Uwolnił się łagodnie z jej objęć i wyszedł. Spojrzał na zegarek. Odzyskał już całkowicie zimną krew.

— Niech ich djabli porwą, żeby sobie obierać taką godzinę na rewizję.

Wszedł do jadalni. Było tam około dziesięciu ludzi, wszystko prawie czerwonogwardiejcy, w żołnierskich mundurach, z bagnetami przy lufach karabinów i dwóch po cywilnemu.

Sawinski poznał naczelnika domowego komitetu, chorowitego architekta, którego biuro wychodziło na dziedziniec. Drugi z cywilnych podszedł do niego i przedstawił się bardzo grzecznie.

— Aleksander Iwanowicz Zubow, komisarz w oddziale śledczym dla kontrrewolucji.

Podał mu żółty, zadrukowany papier, opatrzony kilku pieczęciami.

Sawinski odczytał go jednym rzutem oka. Był to rozkaz przepro-

wadzenia rewizji u Mikołaja Władymirowicza Sawinskiego i zaaresztowania go, jak również wszystkich osób, znajdujących się w jego mieszkaniu. Sawinski pomyślał o Lydji i nogi ugięły się pod nim. Musiał się oprzeć o stół.

— Nie wątpię w autentyczność tego papieru—rzekł.—Ale może zaszła pomyłka... Czy mogę zatelefonować do Leona Borysowicza Simeonowa?

Komisarz skłonił się i bardzo uprzejmym tonem rzekł:

— Obawiam się, Mikołaju Władymirowiczu, że to będzie napróżno. Będzie pan zresztą badany dzisiaj na Gorochowej i wtedy, jeżeli pan to uznasz za właściwe, Leon Borysowicz będzie mógł zapośredniczyć. Ale my nie zależymy od komisarjatu spraw zagranicznych.

Komisarz miał obejście człowieka dobrze wychowanego. Był to prawdopodobnie dawny urzędnik tajnej policji cara, który wszedł w służbę bolszewików. Był świeżo ogolony, miał krótki wąsik na nieco nabrzmiałej wardze i wyrażał się wytwornie. Nie miał jeszcze trzydziestu lat.

Sawinskiemu przyszła na chwilę myśl, że może uda mu się załatwić z nim sprawę Lidji. Ten zrozumie zapewne położenie i nie będzie od tego, aby przysłużyć się człowiekowi takiemu, jak on.

— Chciałbym pomówić z panem na chwilę w sprawie dosyć drażliwej—rzekł półgłosem.

Tamten skłonił się.

— Do usług—rzekł i skierował się za Sawinskim ku drzwiom gabinetu.

W tej chwili inny osobnik w mundurze odłączył się od gromadki żołnierzy i przystąpił do nich. Komisarz cywilny, nie okazując żadnego zakłopotania, przedstawił go:

— Porucznik Iwanow—rzekł.

Sawinski, umiejący patrzeć na ludzi i oceniać ich z jednego rzutu oka, poznał wnet, z kim ma do czynienia. Był to również młody człowiek, przyzwoicie ubrany, z wyglądem karjerowicza.

— Należał do dawnej armji — pomyślał Sawinski. — Może mi się uda.

— Panowie—rzekł z uśmiechem—chcę z wami pomówić w sprawie osobistej. Zrozumiecie zaraz. Nie zwracam się do was, jako do urzędników rządowych, spełniających swoje obowiązki...

— Bardzo przykre, upewniam pana, Mikołaju Władymirowiczu, bardzo przykre, w istocie—wtrącił komisarz cywilny, kłaniając się.

— Tak—ponowił Sawinski z trochę większą pewnością siebie — to też zwracam się do panów, jako do dżentelmenów. Jestem tu dzisiaj w położeniu dosyć drażliwem... To się może zdarzyć każdemu z nas. Mam u siebie kobietę, bardzo młodą kobietę, która przyszła mnie odwiedzić i którą zatrzymałem na noc, bo, jak panom wiadomo, ulice nie są bezpieczne... Ona nie ma nic wspólnego z polityką, to jeszcze dziecko prawie... jakieś ośmnaście lat. A teraz mogę panom dać słowo honoru, że w niczem nie jest wmięszana w moje życie, że nie wie, co robię, i że dziś po raz pierwszy przyszła do mego mieszkania. Moja służba, jeżeli panowie zapytacie o to, może stwierdzić prawdę słów moich. To też zaklinam panów, żebyście jej pozwolili odejść. Pojmujecie panowie, o co chodzi. A ja nie zapomnę nigdy przysługi, jaką mi wyświadczycie.

W miarę, jak mówił, opuszczała go zimna krew, z jaką zaczął, i przejawiało się to w drżeniu jego głosu.

Obaj komisarze zdawali się podzielać jego wzruszenie; cywilny bardziej jeszcze, niż wojskowy. Podczas gdy Zubow kiwał głową z uznaniem, oficer uśmiechnął się lekko, jakby dając do poznania, że i jemu również zdarzały się podobne przygody i że to są rzeczy, na które mężczyzna, znający życie, umie zamykać oczy.

Jednakże, gdy Sawinski skończył, wielkie zakłopotanie odmalowało się na ich twarzach. Usunęli się trochę w głąb i zaczęli rozmawiać półgłosem. Trwało to dosyć długo. Widocznie, natrafiali na jakąś przeszkodę, trudną do usunięcia. Wrócili wreszcie do Sawinskiego.

— Czy psn może powiedzieć nam nazwisko osoby, która jest u pana?—zapytał komisarz cywilny z pewnem zakłopotaniem.

— Wolałbym zatrzymać je w tajemnicy—odrzekł Sawinski.—Chodzi o honor kobiety... Panowie rozumieją.

— Rozumiem, rozumiem—przerwał oficer—jednakże...

— W każdym razie, musimy spytać służącą — poddał Zubow, który widocznie bardzo pragnął dać dowód dobrej woli.

Zawezwano Anuszkę. Obaj komisarze zadali jej pytania. Stara sługa odpowiadała z prostotą i pewnością siebie. Nigdy jeszcze nie widziała tej młodej pani, która była na obiedzie u jej pana. A ona, Anuszka, otwierała zawsze drzwi. Ta pani nigdy jeszcze nie była w mieszkaniu.

To zeznanie zdawało się sprawiać wrażenie na obu komisarzach. Zostawszy sami, zaczęli się znowu naradzać, ale Sawinski miał w owej chwili prawie pewność, że rzecz jest załatwiona. Odetchnął swobodniej. Co się z nim stanie, o to nie dbał. Chodziło jedynie o Lydję.

Obaj komisarze zbliżyli się znowu do niego. Tym razem przemówił oficer.

— Wydaje nam się, Mikołaju Władymirowiczu, że sprawa jest istotnie bardzo drażliwa... Mamy rozkaz formalny... Wzięlibyśmy na siebie wielką odpowiedzialność, gdybyśmy go nie wykonali literalnie... Jednakże... aby panu się przysłużyć... zważywszy na takie wyjątkowe okoliczności... Ale, oczywiście, pan zachowa to w najgłębszej tajemnicy. Nikt nie powinien o tem wiedzieć, nawet żołnierze, którzy tu są.

Przez otwarte do jadalni drzwi widać było żołnierzy. Sawinski z sercem przepełnionem radością nie śmiał uścisnąć ręki swoim interlokatorom. Zresztą w tej samej chwili zaszedł wypadek, który, niestety, zmienił z gruntu położenie.

Lydja weszła szybko do gabinetu. Była zaniepokojona do najwyższego stopnia i od kwadransa łamała sobie głowę nad znaczeniem tych długich pertraktacji. Nie mogąc dłużej wytrzymać, postanowiła zobaczyć, co się dzieje z jej kochankiem.

— Co to znaczy? Czego chcą od ciebie?—zapytała, nim Sawinski, zmiażdżony zupełnie, zdążył ją zatrzymać.

Wydało mu się, że ziemia otwiera mu się pod stopami. Wejście Lydji sprawiło ogromne wrażenie. Obaj komisarze wpatrywali się w nią z natężeniem. Jej piękność, blask jej oczu, obojętność, jaką okazywała na wszystko, co się dokoła niej działo, przejęta wyłącznie losem Sawinskiego, napełniła ich zdumieniem i zachwytem. Żołnierze nawet zbliżyli się do drzwi i spoglądali na Lydję wytrzeszczonemi z ciekawości oczyma.

— To bardzo przykre—szepnął komisarz Zubow, opamiętawszy się wreszcie.—To istotnie bardzo przykre. Niestety — rzekł cicho do Sawinskiego, który musiał usiąść i trzymał w dłoni rękę Lydji — niestety, będziemy musieli wykonać nasz rozkaz z całą ścisłością.

Dalszy ciąg nastąpi.